



50 LAT TEMU...

POGRZEB JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO



1935-1985

Wieść rozbiegła się nagłym dzwonieniem telefonów, rzucana urwanymi, szybkimi zdaniem, w kilku punktach miasta. Nie było cichszego wieczoru nad ten pogodny wieczór wiosenny, wieczór świątecznego dnia, w wielkim mieście pracy, wieczór późny, ludzi do snu układający. Padła weń nagłością gromu, nie zostawiając jeszcze czasu i miejsca na żal, na ból i płacz, wywołując jedynie głęboki wstrząs. Z każdego miejsca, do którego dotarła, podrywała się dalej telefonami, gorączkowo, niepokojąco. Niosła się z miejsca na miejsce, przeskakując całe dzielnice, domy, warstwy społeczne, chyżością pożaru. Prochy, które mogły jedną iskrą telefonu rozpaść, rozsypane były wszędzie. Ale w ten wieczór szła tylko podziemnymi przewodami, spalając się we wnętrzu zamkniętych mieszkań, nie buchając nad domy, na ulice.

Kiedy przynaglonym krokiem szliśmy przez Aleje, było cicho, ciemno i zupełnie pusto, jak w wielkim parku nocą. Od Łazienek szła silna woń rozkwitającej w wilgoci zieleni, od miasta szumiało dalekim, ściszone rozgwarem. Parę osób wracało powoli. Mała dziewczynka przed inspektorem armii zabiegła drogę z kwiatami i tem, że Pan Marszałek umarł. Ona wie o tym od pana generała Berbeckiego, który tu przychodził, i on właśnie jej to powiedział: "Idź mała, Pan Marszałek życie zakończył". Mała nie poszła. Podbiega oto do przechodniów wracających ku miastu z przechadzki i zawraca ich tymi słowy, jakby oni mogli odegnąć to zło. Jeszcze tylko kilkadziesiąt, tylko kilkanaście metrów. Pałac belwederski stoi przed nami, wtulony w stare drzewa parku, biały i milczący, jak stary pański dwór o stanisławowskich tradycjach, z tych,

o których się słyszy, że kiedyś zatrzymał się w nim Kościuszko czy książę Józef, w którego podkowistych oficynach grzebią się dziwaki rezydenci, a szarą godziną schodzi duch ze starego portretu. Inne podobno dwory rozebrano po zgonie właściciela na cegłę, rozniosły je granaty wielkiej wojny, zniszczyły czasy nowe. Do tego jednego podeszło z tyłu wielkie miasto, zajązwały mu w dziedzińcu siedmiopiętrowe kamienice, podpełzła asfaltem ulica, zagroziły kominy fabryk widok na przedmieścia, a sam wielki pałac stanisławowski, pomnik pogrzebanej epoki, pozostał taki jak był. Nocą oddala się miasto, odsuwa ogromne domy i nowe dzielnice, idzie mokry wiatr z łach wiślanych, podkłada wielką ciszę pod świergot zaszytych w szczeliny ścian świerszczy. Tego wieczoru biały Belweder nie śpi. Za storami jarzą się jasno okna całego parteru, poprzez żelazne sztachety widać nieosłonięte okna sieni, widać ludzi w mundurach i ludzi w czarnych ubraniach, chodzących tam i sam. Widać całkiem wyraźnie dwie wielkie broje stojące w westybulu u wejścia na schody na górę, widać czerwony dywan tych schodów. I nic więcej.

Kilkanaście osób przystało w cieniu, po drugiej stronie ulicy, gdzie stał białoczerwony szlaban przed koszarami odwachtu, taki sam jak na sztychach z czasów Konstantego. Patrzą na biały pałac rozświetlony a ciemny, pełen ludzi a martwy. Przyjechała jedna i druga limuzyna, warta otworzyła bramę, ludzie wysiadając z sarnochodów wbiegli po schodach ganku i znikli. Ludzie, którzy tu stoją w cieniu kasztanów Alej, nie przestąpią progów białego pałacu. Przystanęli jak na wsi przystają chłopci przed dworem, gdy oto poszła wsią wieść, że za jego zaczarowanym kołem parków i bram dzieje się coś niezwykłego. Będą jak chłopci czyhali na ochłap każdego słowa wieści stamtąd, o tę odrobinę więcej nad to co sami już wiedzą. My pójdziemy, będziemy biegli po agencjach, będziemy w redakcjach rzucali to co się stało pod szczerk rotacyjnych maszyn na białe walce papieru. Gdy świtaniem wrócimy tu raz jeszcze, będzie tylko poranny

ziąb od Wisły, świergot ptaków po drzewach i dopalanie się świateł w oknach białego dworu. Już odeszła fala rażonych straszliwą wieścią, jeszcze nie napłynęły następne, przed Belwederem jest cisza. Ale wiemy to dobrze, że nim światło znijdzie — mrużąc, kadząc, śpiewając, służba śmierci przyjdzie.

Wieść zbiegła z telefonów, wczepiła się w szare mury domów plakatami orędzia Prezydenta, podbiegła czarnymi obwódkami na pierwszych stronach pism porannych, wytrysła nad bramy domów sztandarami spowitymi w czerni. Poleciała w Aleje i na Pragę, na Wole, na daleki Żoliborz, Ochotę, Annapol, opóźnia kroki ludzi wstających do pracy, fabryki, urzędu, rzucała ich na gazety, przykuwała do plakatu. Dotarła już wszędzie. Sklepy spożywcze i szynki, hale targowe i rogi ulic, wszędzie, gdzie życie wielkiego miasta najsamprzerwsza rusza odnowa, pełne są tylko niej. I naraz tłum zaczyna walić pod Belweder, bez sztandarów, bez pochodów i komend, bez pytania jezdni na jezdni, na przełaj, po wiejsku. Zagęszcza się zbitą masą głów przed kratami pałacu. Zagłada w każde oczy człowieka, który wychodzi stamtąd, który widział. Chwyta każde słowo z jego ust.

Marszałek umarł!

Warszawa pęczniej tą wiadomością, rozpęka się, wzbiera, wylewa. Gazety rozdierają ciemność wczorajszej nocy, rozrywają zasłone murów pałacowych, zasłone zapuszczonych w pokojach stor. Na rogu ulicy chrypie głośnik radiowy. Padają nazwiska lekarzy i nazwy chorób, medyczne, uczone słowa mieszają się z patosem porannych artykułów w dziennikach, niosą opisy ostatnich chwil, niepewne, pogmatwane, ale pierwsze. Mówią o nominacjach. Tłum chce wiedzieć przede wszystkim to wszystko, co koło tych Zwłok bezpośrednio krąży. Ze spoczęły na białym jedwabnym całunie, że je balsamowano, że przypadnie im na Wawelu, między królami miejsce stosowne. Głośnik mówi to wszystko, przerywając teksty depesz z zagranicy, wiadomości z kraju. Podchwytuje się jeszcze że mózg oddany będzie nauce, że serce spocznie w Wilnie, tam "gdzie przebywało zawsze", że je kazał złożyć u stóp trumny matczynej.

I wtedy, po raz pierwszy, ludzie płaczą.



Wielka rzeka życia, powolny nurt czasu, znaczący przebieg pokoleń obrazem, który w starym ryciu wiejskich, kolumnowych dworców jak stanisławowski Belweder, ma swoją niezmiernie prostą i niezmiernie piękną dostojność: są to chwile gdy przez rozwarte na oścież podwoje, wyprężone prosto kolumny ganku, przesunie się cicho odchodząc na zawsze, czyjaś trumna. Jest obyczaj, że powinna wtedy raz jeszcze dotknąć progu, aby ten dom pożegnać na zawsze, nie musieć doń potem wracać w szarą godzinę Dziadów. Ludzie w Żuławie i Sugintach będą się pytali, czy trumną pana Piłsudskiego dotknięto progu, czy będzie miał wieczny spoczynek, czy nie zwiększy liczby mar blądzących w legendach po starym domu? Pamiętać o litewskim zwyczaju nie było komu w tym żalu. W mroku cichego wieczoru, w blasku wschodzącego księżyca, wysunęła się jak cień, biało czerwonym całunem okryta, trumna Marszałka, dnem swoim nie tknąwszy progu. Ponad tłum wypełniający dziedziniec spłynęła na żelazne łoże lawety armatniej. Przepuścili ją bez słowa strażnicy warty. Od Belwederu po "Święty Jan" wyrósł wokół szpaleru piechoty mur ludu. Obrósł wokół tamtego jak ciasto betonu okrywa ciężkie stalowe pręty. Jak beton zastygł w długie godziny oczekiwania. Aż z jęku dzwonów warszawskich, z wieży na wieżę rzucając swe apele ponad dachy, wybił się daleki jeszcze, w mrok nocy i latarni krepą spowity, głuchy werbel bębnowy. Stłumił kroki piechoty, szeroką lawą kroczącej, brzęk kopyt koni szwoleżerskich o asfalt Alej. Pokrył tamto wszystko swym warkotem, jak pokrywał w Warszawie starej tyle śmierci, samosady insurekcji kościuszkowskiej, śmierć Rylla, Jaroszyńskiego i Rzończy i stracenie członków ostatniego Rządu Narodowego. Teraz uciszał żywych wobec śmierci.

Przed domem księcia ordynata niebieskiego, dziedzica Panie Kochanków, stanęła największa

bieda z baraków annopolskich, bezrobotnych jeszcze przed bezrobociem, nędzarzy warszawskich. Od Warszawy księcia-ordynata, radców ministerialnych z Ujazdowskich alej, panów z poselstw i panierek z Łazienek, jest ich Warszawa jeszcze dalsza niż światy leżące za dziesiątą górą i rzeką. Są wobec świata Alej złamani i nienawistni, uniżeni i wrodzy. Ten dzień wyrzucił ich w samo serce obcego miasta i kazał o tej obcości na kilka godzin zapomnieć. Przed pałacykiem ambasady, gdzie urzędnicy od dziesiątej szlifują swoje paznokcie, stanęła murem robotnicza Warszawa, z Pragi, pewna siebie, pracę posiadająca, ale temu światu ambasad i cylindrów nie mniej jak ci z baraków choć inaczej obca, podrzywająca z dokładnej pedanterii jego fanaberyjnych nawczek. Teraz Powiśle nie śmieją papuzie mundury dyplomacji. Nie widzi "cherlawych" inteligentów, co w czapkach studenckich stanęli tuż obok. W tłumie narosłym wzdłuż szpaleru, w samym jego centrum, tuż pod kościołem św. Aleksandra stanął czarny, przygarbiony Żyd. Lata całe nie wychodził dalej niż Graniczna, dalej niż koniec Bielańskiej, nie odważył się iść w tamtą Warszawę; taki jaki był: ghettowy, czarny, żydowski. Lata całe tkwił w swoim mateczniku ulic Dzikich i Gęsich, w mateczniku szkół rabinackich, w świecie uczonych komentarzy do Pisma, niczem żubr mickiewiczowski. Wieki całe przekazały mu lęk przed tłumem, przed większym skupiskiem ludzi obcych. Przedwczoraj wieść zastała go nad księgami, wypłoszyła. Wyszedł na ulicę, a potem wrócił, pytając siebie cały dzień "was jytz". Przesiedział tak, niepewny obawy o to, co będzie. A dziś, po południu, wyszedł. Poszedł aż tu, w świat obcy, w tłum powiślaków i studentów, stanął przed samym portykiem kościoła. Kumochoy, które tam stały, paniusie kruchowe ani go dziś spostrzegły. Jego czarne, smutne oczy Żyda wypatrywały godzinami daleki mrok Alej. Nadiągnęła w tłumie żołnierzy, w roju białych księżych komż trumna. Stary Żyd wpełznął się aż w samą gestwinę szpaleru. Żołnierze musieli go odrzucić. Żyd pchał się z powrotem. Nadjechała na lawecie armatniej, z szablą skrzyżowaną nad całunem, trumna. Stary Żyd, który nigdy nie widział Józefa Piłsudskiego, uczył się oczami tej trumny. Może dziś wieczór ze swej nory w głębi Czarnego Łądu wypowie słowa "kadiszu", hebrajskiej modlitwy, za zmarłego obcoziemca.

Tej nocy Wieść rozpostarła się jeszcze szerzej, wieść, że złożono Go u "Świętego Jana". Ludzie stali w niekończącym się węzlu kolejki, stali do białego rana, aż ósemkami przeszli, nie zatrzymując się na moment, wokół wysokiego katafalku w katedrze, pod baldachimem czerwieni, bieli i czerni, spiętym koroną legionowych orłów. O świcie przed ruszeniem fabryk napływała fala robociarska, zaraz za nią urzędnicza, a potem przez cały dzień płynęła Warszawa, niosąc nurt ludzki różnych strumieni z różnych spływający dzielnic. Nocą przed ostatnim nabożeństwem ludzie walczyli na pięści, tratowali jedni drugich, rozbijali kordony policji i rozbijali się sami o zamknięte drzwi katedry.

Dwunastoletni Władysław Lachowicz spędził wtedy swoją drugą noc pod ławką wagonu, kuląc się głębiej, ilekroć ktoś otworzył drzwi przedziału, zamierzając na głos konduktora. Ta sama siła która owej pierwszej nocy poderwała nas na nogi i kazała iść ku Belwederowi, zastała go w dalekim Stanisławowie i poderwała, jak brzeg podrywa powódź wiosenna, jak domy podrywa kra. Mały Lachowicz wsłuchuje się w nocne rozmowy ludzi w przedziale, wsłuchuje się w to co opowiadają, słyszy, że na Mokotowie stanie wśród pola trumna Wodza i że przed nią defilować będzie wojsko. Mały Lachowicz nie był nigdy w wielkim mieście Warszawie, nie wie jak iść na ten Mokotów. Powtarza sobie cicho jego nieznaną nazwę, aż do zapamiętania: Mo-ko-tów, Mo-ko-tów, Mo-ko-tów. Wystukują mu ją koła pociągu toczącego się w tę noc tłoku przed katedrą warszawską. Blade światło zimowego dnia zajrzało już w szyby przedziału, spłynęło aż w cień pod ławkę. Koła wagonu jak tryby zegarka odstukują ostatnie godziny. Warszawa coraz bliżej, coraz bliżej. Zobaczysz Go jeszcze chłopaku!

Spod strony Dekiarta na Starym Rynku, na sam dźwięk bicia dzwonów katedry, ruszyła wielka laweta, zaprzężona w szóstkę karych koni, opasana szeroką szarfą Virtuti. Ruszyła za nią pochodem masa wojskowych. Okna Starego Miasta, nabite od głów, wypatrują aż z odrzwi katedry wyjdzie trumna i zjedzie na lawecie działa na plac Zamkowy, w miasto nowe. Środkiem ulic oczyszczonych szpalarem wojska, jak pług śniegowy oczyszcza zawiane śnieżycą tory, płynie powolnym krokiem pochod na Mokotów. Olbrzymi, olbrzymi stanął tam amfiteatr trybun i widowni. Pół dnia wystawiali ludzie, aby doczekać się początku defilady, wsłuchiwali się w bicia dzwonów całej Warszawy, rozpoznawali głosy dzwonów własnych dzielnic. Aż wreszcie z lewego końca trybun wysunęło się czoło pochodu ciężkie od niesionych ogromnych wieńców. Wyszło wszystko i biali księża, biskupi, i wysoko, wznoszące swój

biało czerwony ciężar, stanęło działo. Amfiteatr widowni trzysta tysięcy ludzi, zamarło w beztępoty i ciszy. Jak w starych sagach germańskich, wniesiono ciało zmarłego wodza na wyniosły kopczyk wśród błoń. Defilada przed Umarłym przeszła wielkim łopotem skłonionych chorągwi i znaków, miarową lawą piechoty, czerwienią zwiniętych proporczyków ulańskich, hukiem toczących się armat. Płynęła jak wielka rzeka, która się nigdy nie skończy. Tak obyczaj wojenny wszystkich ludów zęgnął w zamierzchłej przeszłości swych wodzów.

Na oczach tłumów ludzi i tłumów wojsk podeszli na kurhan okryty w kwiaty złożonych wieńców generałowie. To był koniec. I naraz, gdy ich ręce dotknęły trumny, aby odpasać ją z lawety i znieść na platformę pogrzebowego wagonu, z trąb milczącej orkiestry pułkowej, pod ciemne, schmurzone deszczem niebo runęła "Jeszcze Polska"... Nuta zrodzona w dniach najczarniejszych, każdym tonem swym wołająca wiarę w siłę życia nad śmiercią, poszła falą przez tłum. Ludzie zaczęli płakać, ocierać łzy, dusić w sobie wzbierający szloch. Tłum patrzył z kamienną, nieruchomą twarzą. Trumna Wodza schodziła z kurhanu jakby to pieśń bojowa podjęła, zniosła ją swoją falą, ruszyła z nią naprzód. Orkiestra grała ciągle, na nowo, jeszcze i jeszcze, jakby po to aby pieśń trumną niesąca nie zamarła ani na moment. Wniosła ją i odprowadziła na wielką płaszczyznę odkrytego wagonu, złożyła na trzecią już z rzędu lawetę działa. Wtedy przeszła, bez chwili milczenia, w tony "Pierwszej Brygady".

Tam za trybunami, przy torze dochodzącym aż dotąd, pod szpalerem białych czerwonych masztów w żalobie, towarzysze broni uchylili za sznury wagonu. Pod deszczem, który naraz z niskiego nieba lać zaczął, stoją tłumy nieporuszone, zapatrzone tylko w trumnę. Jest teraz tak blisko, że widzimy doskonale siwą maciejówkę, starą, komiśną, a leżącą na sztandarze Rzeczypospolitej. Wóz drgnął i zaczął się toczyć wolno, wolnusiętko. "Pierwsza Brygada" płynie cichym tonem nad głowy ludzi. Wolno, wolnusiętko odjeżdża trumna. Odsuwa się z tego placu ćwiczeń, poza to pole, te pułki, ten tłum. Szara maciejówka rozplaszczyla się na niej ostatnią pamiątką prostego, wielkiego życia. Deszcz siecze w nią po raz ostatni strugami słoty, jak siał przez lata frontu, okopów, ziemianek w lasach wołyńskich. — Jak siał nie będzie już nigdy.

Cały ten czas dzieci miechowskich szkół powszechnych zbierały kwiaty w wozie. O tym wozie słyszały dzieci dawno, że na polu obok była za powstania wielka bitwa z Moskalami a powstańcy przyszli byli od Krakowa. O tym wozie mówiono potem, że jego zagomami posuwał się pod same Kielce

O RĘDZIE PANA RREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ DO NARODU POLSKIEGO DO OBYWATELI RZECZYPOSPOLITEJ

MARSZAŁEK JÓZEF PIŁSUDSKI ŻYCIE ZAKOŃCZYŁ.

Wielkim trudem Swego życia budował siłę w narodzie, geniuszem umysłu, twardym wysiłkiem woli państwo wskrzesał. Prowadził je ku odrodzeniu mocy własnej, ku wyzwoleniu sił, na których przyszłe losy Polski się oprą. Za ogrom Jego pracy danem Mu było oglądać państwo nasze jako twór żywy, do życia zdolny, do życia przygotowany, a armię naszą — sławą zwycięskich sztandarów okrytą.

Ten największy na przestrzeni całej naszej historii Człowiek z głębi dziejów minionych moc Swego ducha czerpał, a ludzkiem wytężeniem myśli drogi przyszłe odgadywał.

Nie Siebie tam już widział, bo dawno odczuwał, że siły Jego fizyczne ostatnie posunięcia znaczą. Szukał i do samodzielnej pracy zaprawiał ludzi, na których ciężar odpowiedzialności skolei miałby spocząć.

Przekazał narodowi dziedzictwo myśli o honor i potęgę państwa dbolej.

Ten Jego testament nam żyjącym przekazany przyjęć i udźwignąć mamy.

Niech żaloba i ból pogłębią w nas zrozumienie naszej — całego narodu — odpowiedzialności przed Jego Duchem i przed przyszłymi pokoleniami.

Prezydent Rzeczypospolitej

(—) I. MOŚCICKI

Warszawa — Zamok, dnia 12 maja 1935 r.

od Słomnik Komendant Piłsudski. O tej porze jest jeszcze w wozie mało kwiatów, ale dzieci pozrywały je wszystkie i rwały całe popołudnie tarninę. Starsi chłopcy, harcerze, poszli z przysposobieniem wojskowym przygotować ogniska na polu nad torem kolejowym. Przez całe popołudnie padał deszcz i dlatego narecze tarniny i wiązki smolaków są zupełnie mokre. Głośnik radiowy mówił o tym jak trumnę Marszałka zegnano pod Warszawą. Jak powoli posuwa się ona przez noc drogą rozświetloną lunami ognisk. Wieść, coraz bliższa, zapala żalobne znicze.

Wstaje wreszcie ranek zimowy, dżdżysty i wczesny. Dzieci ze Słomnik i Miechowa, dzieci ze wsi bliskich i dalekich, ludzie co widzieli poprzez jary miechowskie inny przed laty pochód, wystają od północy wzdłuż toru. Gdy pociąg nadjeżdża, rozpalają się ognie na wzgórzach, koło toru, na polach, po prostu na drodze. Dymią się nisko ogromne kadzielnicze ogniska. Pociąg z wysoką trumną na lawecie armatniej przejeżdża tak, jakby swym przechodem rozpałał ognie po polnych drogach i łąkach i swoim przejazdem te ognie gasił. "Z każdego wzgórza, gdy przechodzi trumna, wytryska ognia strzelista kolumna". Czarne ślady dopalenisk znaczą przejście Wodza. Lud zęgnął Go ogniem, jak zęgnął swych wodzów dawno dawno temu, gdy sypano im

kurhany pod niebo i gdy te ognie były święte.

Na krakowskich ulicach stoją jeden przy drugim wysokie maszty, całe w czerni, jak smolne pochodnie, czekające aby zapłonąć. Srebrne orły legionowe siadły na ich szczycie. Wolno, w szpalerze piechoty, otoczone rojem księży, zakonników, zakonnic, posuwa się kondukt od dworca. Wchodzą w ulice stare, którymi od długich wieków ośmiu kroczyły pogrzeby królów. "A idą posepni, a grają im dzwony, ze wszystkich kościołów, żalobne". Ludzie płakali w Warszawie, płakali w Krakowie, gdy przyszła Wieść. Ale żalobność krakowska ułożyła się teraz w ceremoniał pogrzebowy, królewski, wypelniła go sobą, nie przewalała się przez jego brzegi. Z Panny Marii" powiewają czarne fale kiru, hejnał wyrwa się w niebo skargą, alarmem trwogi. Piłsudski przemierza miasto, w którym każdy kamień pamięta jego boje przedpierwsze, gdy jego idea wojska była w tym mieście "jak małe dziecko, popychane i potrącone przez starszych".

Dzwon ulany przez mistrza Behema z dział wołoskich przerwał swe bicie na chwilę: jego olbrzymie serce rozgrzało się od uderzeń, jak rozgrzewa się lufa dział po strzale. Od brony pierwszej bramy wawelskiej pod katedrę ciągnie się szpaler samych chorążych wszystkich pułków Polski. W katedrze ludzie czekają. Kondukt idzie już plantacjami, tam gdzie na ruinach murów obronnych twierdzy Olbrachta wyrosły stuletnie kasztany. Jest coraz bliżej. Z bastionu Władysława IV w chmarze krakusów raclawickich - szpizowy Kościuszko spina konia.

Książe-arcybiskup krakowski zszedł z komnat nad murami obronnymi. Prałaci i klerycy gotują wszystko do uroczystości. Nic się w tym nie zmieniło przez wieki całe od pogrzebu ostatniego Piasta... Otworzono, jak wtedy, na właściwych miejscach stare ciężkie mszały, księgi hymnów. Przygotowano w srebrnych misach wodę do ostatnich święceń. W sklepionym obronnie skarbcu, gdzie w dębowych szafach leżą dary królów i wielmożów, od Władysława Jagielly i Kazimierza Jagiellończyka, ukląkł przed krucyfiksem metropolita. Odmawia te same co ongi modlitwy żałobne przed mszą świętą, modlitwy przygotowania, skupienia. W ciemnym skarbcu klerycy - chodzą na palcach. "Zygmunt" bije na nowo, tuż nad głowami tych ludzi, gniotąc stropy kaplic. To znak, że wielkie koła lawety armatniej wtoczyły się na wzgórze zamkowe.

Dobiega końca msza łacińska, śpiewana u niewidzialnego ołtarza, skrytego za srebrną trumną św. Stanisława, za wysuniętym na wprost niej, czerwonym jak monarsze katafalki, wezłowiec z zwłokami Józefa Piłsudskiego. W czerwono-złotej mitrze władzcy ruski biskup Przemyśla odprawia egzekwie i płynie na cały Wawel "wiecznaja pamiat" śpiewana u śmiertelnych szczątków Wodza, tak samo jak ją władcy Kijowa śpiewali u szczątków Włodzimierza i Jarosława Mądrego, jak ją metropolici ruscy śpiewali u zwłok Jagiellowej żony, królowej Sonki, u zwłok księżniczki moskiewskiej Heleny, żony Aleksandra. Słuchają tych słów z dziedzinka chłopci spod Doliny i Stryja, spod Mołodeczna i Ostroga, zegnając się po trzykroć. I naraz zniesiona na barkach schodzi trumna z purpurowego katafalku. Na jeden moment zrównała się z kamiennym sarkofagiem Jagielly. Jakby się zatrzymała i ruszyła dalej. Oto jest już przed nami. Sierżant z Belwederu stoi u otwartych w posadzce odrzwi, zasepiony, poważny, służbisty. Na barkach

generałów trumna opuszcza się powoli w królewski loch. Schodzi za nią cała w czerni Aleksandra Piłsudska, schodzą córki, Prezydent, generałowie, rząd. Wystrzały armatnie targnęły powietrzem, wypychają stare szyby witraży. Jeden, drugi, dziesiąty. Na dnie krypty, pochodzącej z jednej z pierwszych katedr wawelskich, osuniętej wiekami w głąb ziemi, zamienionej w sanktuarium martwych, w kowanej trumnie srebrnej spoczął Józef Piłsudski wśród królów wielkich i małych, obok snującej mądre plany Cecylii Renaty, arcyksiężniczki rakuskiej, obok splatającej male intrygi Marysienki, obok drobnej trumienki królewicza Zygmunta Karola, który do grobu zabrał ze sobą dynastyczne nadzieje Wazów, obok bezpotomnej, spalonej w sobie, sławy Sobieskiego. Popioły swoje dorzuci do tamtych, śniących w strazy kolumnowych czołów.



A Belweder stoi w blasku słońca, spokojny, jak ktoś kto długo płakał aż wreszcie nie stało mu leż. Warty zelży za jego bramy, pilnować nie mają kogo. Warszawa mija go jak dom żaloby. Dziwnym zrządzeniem losu chciały wypadki aby nie raz jeden w niskich pokojach tego białego pałacu snuły się wielkie sny dziejowe, aby nie raz jeden w jego ścianach gotowały się wielkie prace. Potem Belweder zamierał na lata całe. Ten pański dwór, wtulony w wielkie nowe miasto, obkarczowany z drzew, pól i łągów, przez wiek cały nie chciał umrzeć, swą legendą kusił jednych po drugich nowych władców czasu. Dziś ostatni z panów tego dworu zmarł. Głęboko i na zawsze w głusze kościelnego lochu zapadły ostatnie echa żałobnej Wieści, która przeszła oto krajem i ludźmi. Możecie ją, odchodzącą widzieć raz jeszcze rankiem, jak szorstkimi dłońmi stróży zdziera z nad domów waszych ostatnie chorągwie żałobne. Rozsnuwa się polami szeroką, polską mgłą.

Ksawery Pruszyński
(Pisane w 1935 roku)

Komendancie...

Nie o takim myślałeś, Komendancie, losie,
Kiedyś od nas odchodził tamtym, wonnym majem.
Nie o takim pokoju Twe serce na Rossie
Marzyło, przez lat dziesięć czuwając nad Krajem,
Nie o takiej zapłacie, po takiej ofierze
Snił Twój Duch zatroskany, w Białym Belwederze.

Szalcicze, który w szarym strzeleckim mundurze
Rzuciłeś się na smoka, by mu Polskę wydrzeć,
Marzycielu, coś poszedł na grom i burze
By z garstką "stumanionych" łeb urywać hydrze
Ucząc nas jak się ziszczają piękny sen o szpadzie
Co plonie, jak stos, w pieśni o Pierwszej Brygadzie.

Marszałku — kiedyś wtenczas odchodził na zawsze
Skazując nas na wierność, na honor i męstwo,
Czyś wiedział, iż czas przyjdzie od tamtego krwawszy?
Ze, tułające — my płakać będziemy w dniu zwycięstwa,
Spoglądając na radość po obcych stolicach
W oczach smutek mieć będziemy, a błądność na licach...

Byłeś dla nas natchnieniem, zostaniesz legendą.
Zadna Cię moc nie wydrze nam i nie odbierze.
A przyszłe pokolenia opowieść snuć będą
O Wielkości, co mundur nosiła żołnierza
I miłości, co zawsze szła przed Komendantem
Patrząc białością żaru, raniąc amarantem.

Dziś, kiedy rozproszeni w cztery światła strony
Modlimy się w kościołach za spójność Twojej duszy,
Wiemy, że nie zaprzemy się nigdy Wielkości
Ze nasz honor świat wstydził i sumienia kruszy,
Ze jesteśmy fortecą, na której z daleka
Powiewa, opuszczony, sztandar Praw Człowieka.

I choćby przyszło jeszcze czekać w samotności
Długie lata, a serca pogrążyć w żalobie.
Wiemy, że nie zaprzeczy się nigdy Wielkości
I dzisiaj to Marszałku, przyrzekamy Tobie,
Iż każdy z nas bojowym się stanie żołnierzem
I już teraz do szturm, za Polskę, uderzy.

Zejdziemy do podziemi, wyjdziem na ulce,
Wedrzemy się na wieżę, do prasy, do ludzi,
Každy z nas już powstaje z płomienną żrenicą,
Každy z nas setki mózgów do prawdy obudzi.
Działać będziemy sprawnie, i ciągle i wszędzie,
Bojowcy bez mundurów — i wierni Legendzie.
I wrócimy. Do Ziemi. Do Domu. Do Kraju.
Za którym nam tęsknota sen odpędza z powiek,
Wrócimy!
Może właśnie na wiosnę, gdzieś w maju...
A wtedy z Belwederu wyjdzie Szary Człowiek,
I do raportu stanem, przed Cieniem-Wyrocznią,
A On spojrzy z uśmiechem, i powie nam: Spocznij.
Wanda Babińska.

To nieprawda, że Ciebie już nie ma...
To nieprawda, że jesteś już w grobie,
Chociaż płacze dziś cała polska ziemia,
cała polska ziemia w żalobie...

Byłeś dla nas posągiem ze stali,
Byłeś dla nas sztandarem wspaniałym,
Tyś, coś Polskę obronił i ocalił,
I wydzwignął na wielki szczyt chwały...

Chociaż serce ci w piersi nie bije,
Chociaż spoczął na wieki duch wielki,
W naszych sercach jak żyłeś tak żyjesz,
Ukochany Wodzu nieśmiertelny...

(Słowa pieśni, śpiewanej po śmierci Marszałka Piłsudskiego w 1935 r.)